Nr. 23 Rok 5 Kraków, dnia 4 czerwca 1944. 50 gr.

Ilustrowany

KI

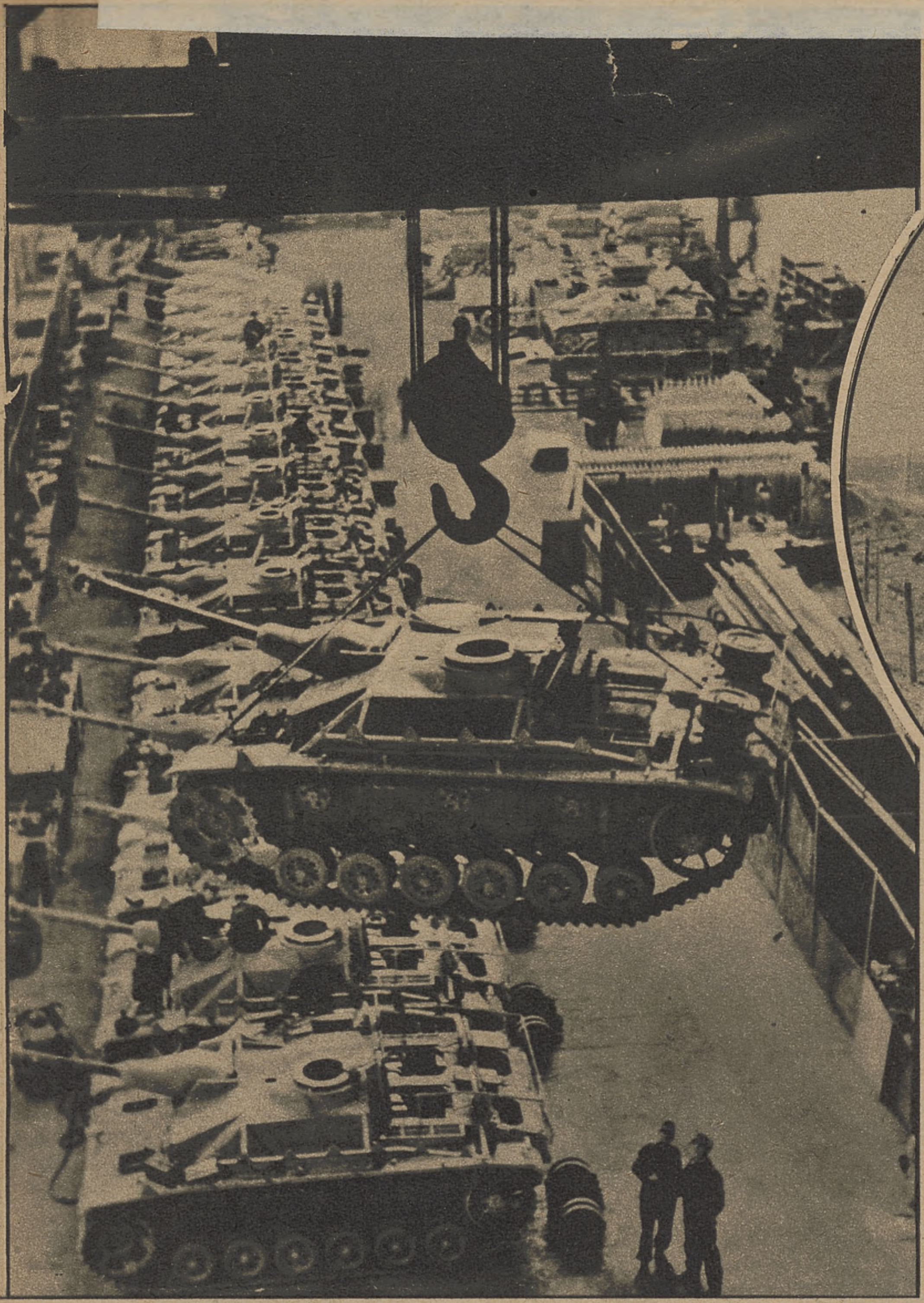


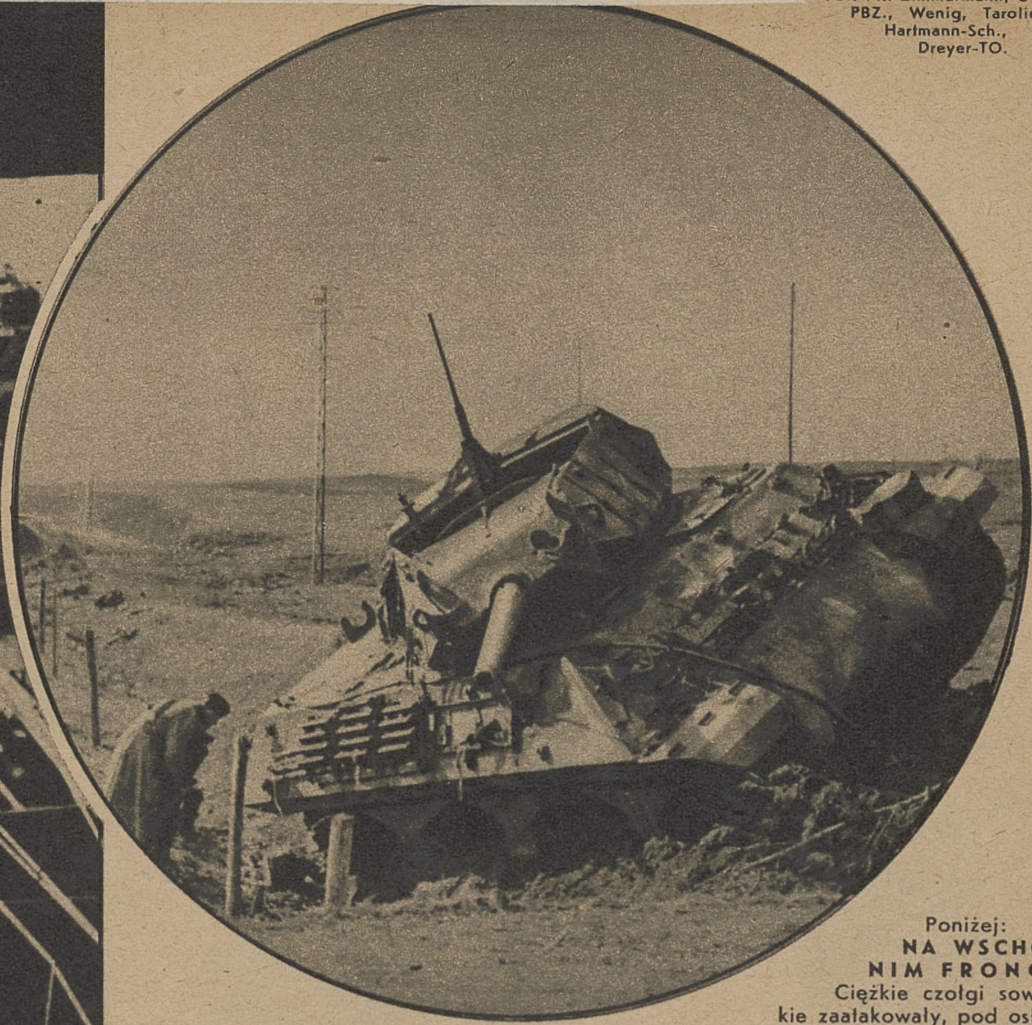
Flirt na scenie

DO NASZEGO REPORTAŻU WEWNĄTRZ NUMERU

Fot: Eurofot

Fot: PK. Zimmermann, Götter
PBZ., Wenig, Tarolin-Atl
Hartmann-Sch.,
Dreyer-TO.

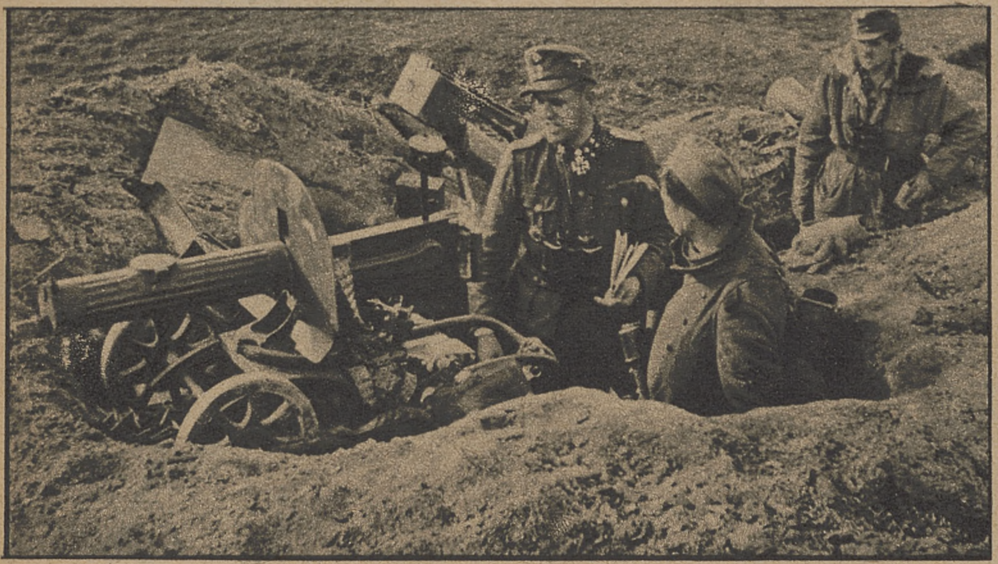




Na lewo:
NOWE NIEMIECKIE CZOŁGI NA FRONT
W olbrzymiej hali fabrycznej stoją gotowe do wysyłki na front nowe czołgi.

Powyżej:
NA FRONCIE WŁOSKIM
Amerykański czołg rozbity tuż przed liniami niemieckimi.

Poniżej:
NA WSCHODNIM FRONCIE
Ciężkie czołgi sowieckie zaatakowały, pod osłoną wiejskich zabudowań pozycje niemieckie. Atak ich jednak załamał się w ogniu niemieckich dział. Na lewo widzimy jeden z rozbitych czołgów.



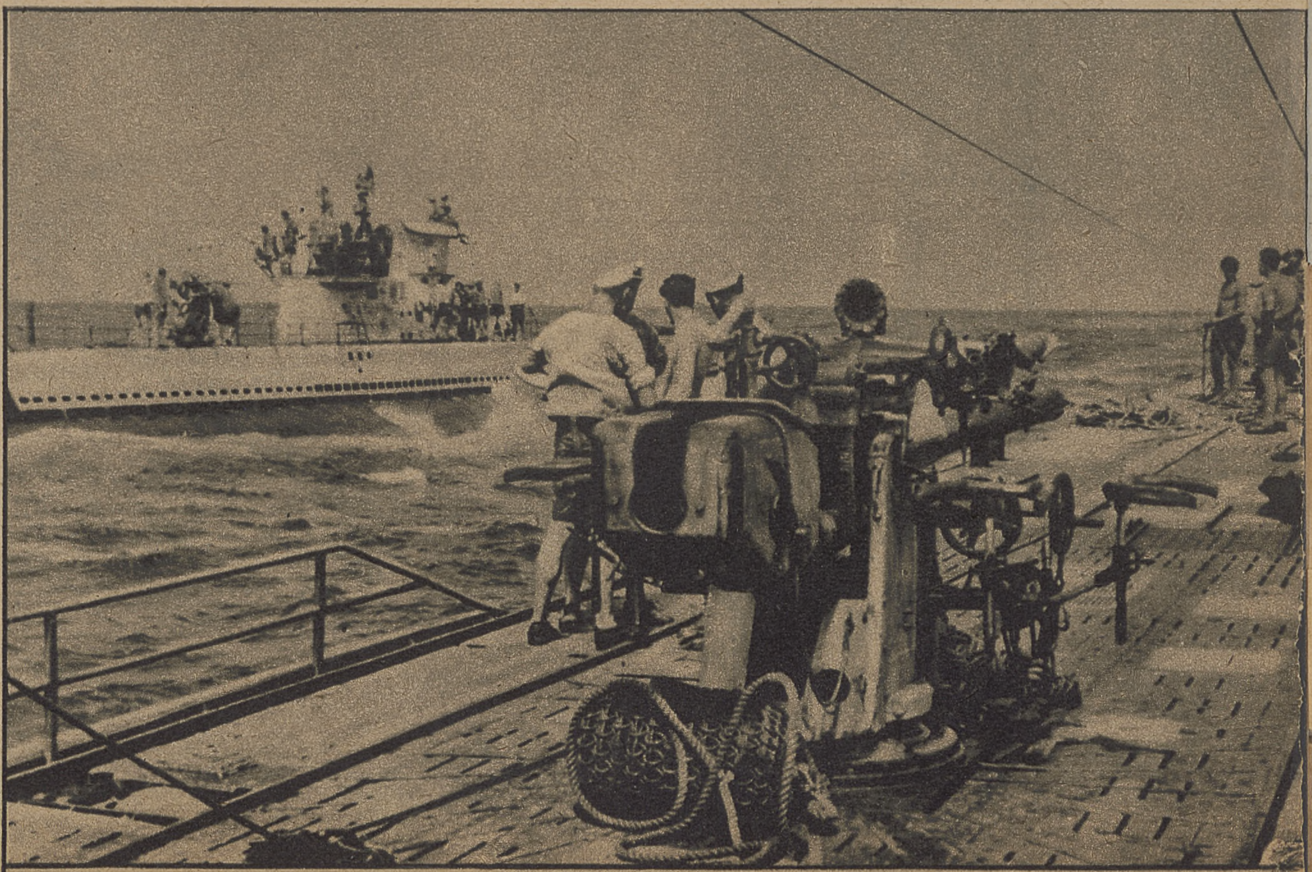


Powyżej:
PO BITWIE
Niemieccy oficerowie i żołnierze oglądają karabin maszynowy pozostawiony w okopach przez uciekających bolszewików.

Poniżej:
NA DALEKIEJ PÓŁNOCY
Niemiecki patrol strzelców górskich na lotnisku. Jako środek lokomocji służą im sanki zaprzężone w renifery.

Na prawo:
ZAOPATRZENIE NA OCEANIE
Niemiecki okręt-cysterna (na drugim planie) zaopatruje na pełnym morzu niemiecką łódź podwodną w amunicję.



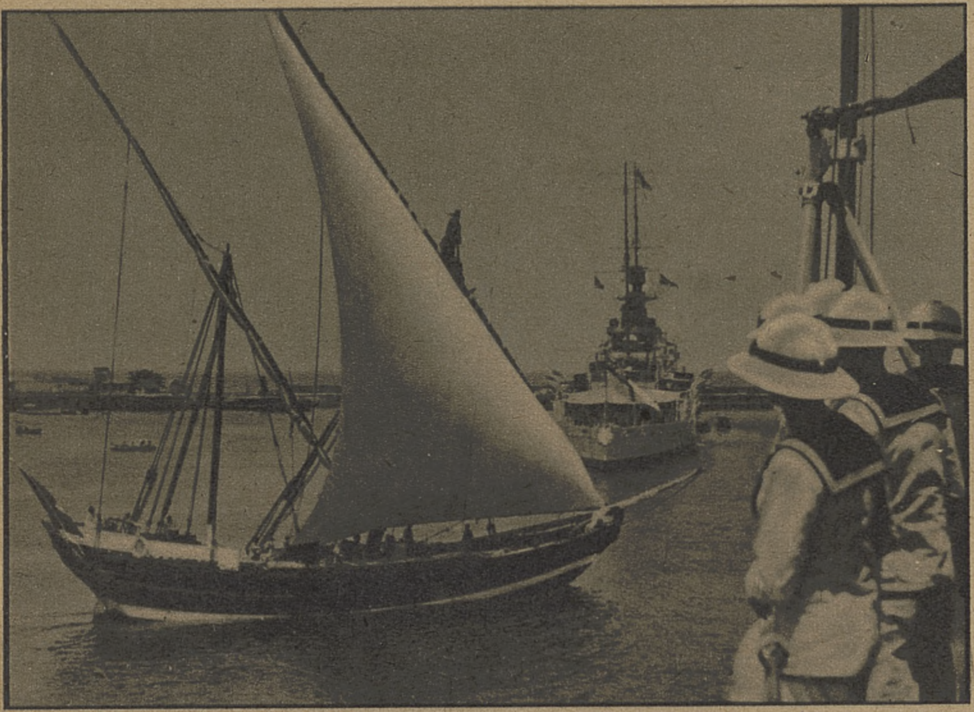


TYGODNIK WOJENNY



Powyżej:
Ratusz w Kolombo — mieście stołecznym wyspy. Tego rodzaju gmachy, w stylu nie nadającym się zupełnie do krajów tropikalnych, budują Anglicy w Indiach.

Poniżej:
Angielskie okręty wojenne w porcie Kolombo, który znacznie został rozbudowany, od chwili gdy miasto stało się siedzibą głównej kwatery Anglików na całe Indie.





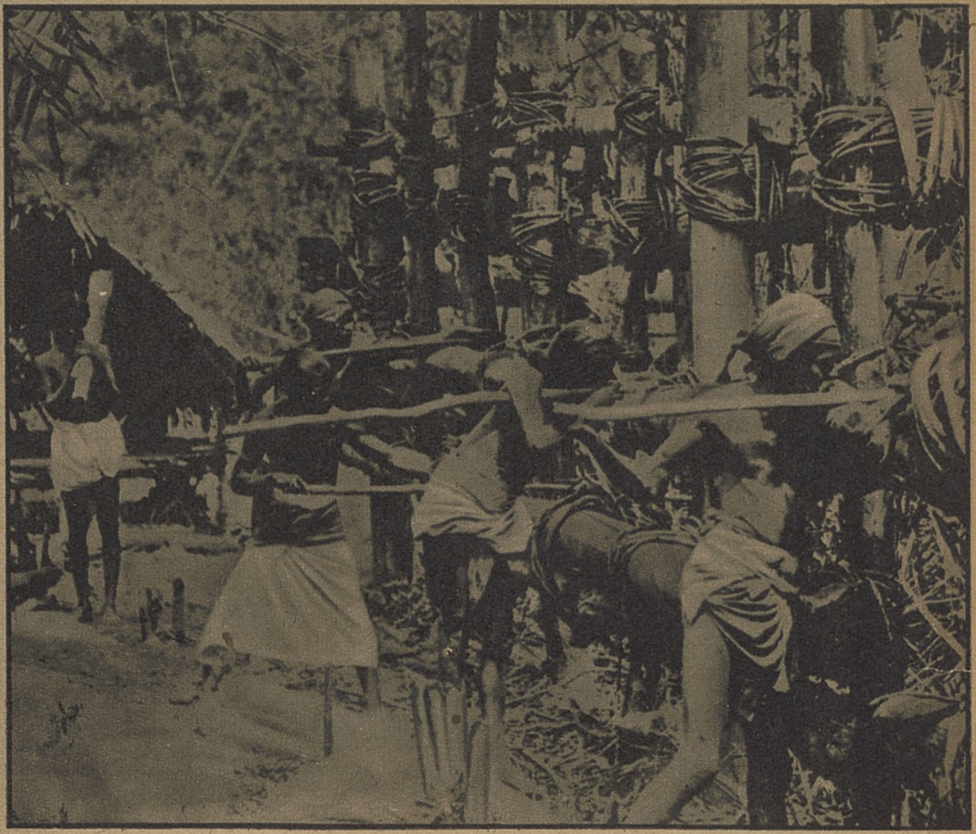


Fot. Seiler

Na lewo:
Jeden z licznych rzemieślników Cejlonu, którzy swą zręczną pracę wykonują pod gołym niebem. Przy pomocy prymitywnego narzędzia przedziurawia on perły i sporządza naszyjniki.

Powyżej:
Mężczyźni, kobiety i dzieci pracują na plantacjach herbaty, głównego produktu eksportowego Cejlonu. Czwartą bowiem część produkcji herbaty całego świata dostarcza Cejlon.

Poniżej:
Polowanie na słonie na Cejlonie. Hindusi zwabiają słonie w obszar otoczony gęstym płotem bambusowym. Zwierzęta, które chcą się wyłamać z ogrodzenia zapędzają myśliwi z powrotem przy pomocy długich żerdzi.



CEJLON

Gdy siły zbrojne Japończyków posuwając się naprzód w południowo-wschodniej Azji stanęły na ziemi indyjskiej, wtedy Anglicy, jak to jest w ich zwyczaju, przenieśli swą główną kwaterę na jedną z wysp. Tym razem wybór ich padł na Cejlon. — Położenie dogodne dla handlu, zdrowy klimat, niezwykła urodzajność i piękno przyrody, morze obfite w perłopławy, góry kryjące w swym wnętrzu złoża metali i drogich kamieni zjednały tej wyspie nazwę: „perły oceanu indyjskiego". Tu jest ojczyzna cynamonu, obecnie kraina kawy i herbaty; siedlisko stad słoni, między którymi napotykają się białe czczone jako świętość okazy. Z powodu swych bogactw Cejlon był od dawna celem wypraw handlowych rozmaitych żeglarzy; już w starożytności odwiedzali go kupcy feniccy, arabscy i chińscy; później Portugalczycy i Holendrzy założyli kolonie na wybrzeżach a w r. 1795 wyspę tę zajęli Anglicy. Posiadając 66 000 km powierzchni wyspa ta jest dwa razy tak wielka jak Belgia, zaś na 5,5 mil. mieszkańców całej wyspy 3,5 mil. stanowią Syngalezi.

Teatr

Obok:
FRYZJER TEATRALNY, TO TEŻ WAŻNA OSOBISTOŚĆ!
Ileż peruk i sztucznie ułożonych fryzur różnych epok znać musi fryzjer w teatrze! To nie tak łatwo, jak się zdaje. Trzeba mieć nawet studia ku temu



Poniżej:
MISTRZ-DEKORATOR PRZY PRACY
Zbłądziłby ten, kto tylko grających na scenie zwałby artystami. Malarz-dekorator jakże wiele daje z siebie do „udania się" sztuki.



Na prawo:
„PANIE I PANOWIE! OMAWIAMY NOWĄ SZTUKĘ!"
Za kilka tygodni tekst zabrzmi żywym słowem ze sceny. Ile trudu będzie to kosztować, o tym wiedzą tylko fachowcy i „ludzie teatru".



Poniżej:
W KOSTUMERII WRE PRACA
Historyczna osnowa nowowystawianej sztuki wymagą odpowiednich strojów.

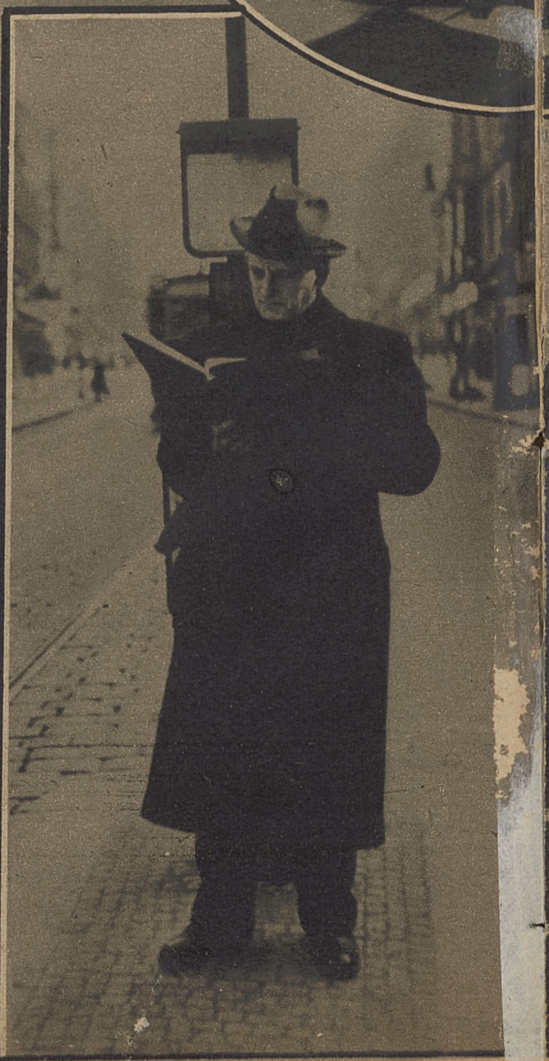


Na prawo:
PRÓBA „CZYTANA" — NIC JESZCZE NIE MÓWI...
To właściwie dopiero „wałkowanie" tekstu. To i tamto odpadnie może albo ulegnie zmianie czy poprawce. W każdym razie sztuka „ruszyła" z miejsca.



Teatr! — Przybytek sztuki, żywego słowa, emocyj, wzruszeń, refleksyj... Teatr — skromny lub dekoracyjny budynek, gmach... Teatr — marzenie, prawdziwych talentów i zapalnych głów... Teatr — w najogólniejszej interpretacji zespół artystów grających swe role na scenie przed publicznością... Nastrój, światła, morze głów, brawa... Ale chciejmy poznać teatr od strony ogromu pracy składającej się na całość podziwianą w blaskach premiery, a zobaczymy sporo nie poetycznych i mało barwnych chociaż koniecznych stron świątyni Muz. Nim dnia pewnego zapowie afisz i prasa wystawienie nowego dzieła — wybije dość godzin żmudnego, przygotowawczego trudu. Autor z reżyserem uzgodnić muszą swe zdania i zapatrywania co do tekstu. Ileż sporów pociągają niejednokrotnie takie debaty! A to dopiero wstęp do... przedstawienia! Zaznajomić trzeba następnie zespół artystów z charakterem i bódaj pobieżnie treścią sztuki. Rozdać odpowiednio role i omówić czołowe i ważniejsze z wykonawcami. Kierownik artystyczny, reżyser i intendent wiedzą aż nadto dobrze, ile to kosztuje nerwów! A teraz, gdy zdawałoby się, że główny ciężar zadania spadł z ramion, może najniespodziewaniej dyrektor teatru, położyć swe „veto"... Co? Jak? Dlaczego?! Bo... trzeźwo zestawiając oblicze wydatków związanych z „oprawą" sztuki i spodziewany wpływ kasowy spostrzega, iż coś, coś,. trzeba będzie „obciąć", inaczej ująć, zmienić... Wydatki bowiem bywają nieraz kolosalne. No! Szczęśliwie wybrnięto i z tego problemu. Można powiedzieć dopiero teraz, że — jazda! Że można zacząć od czytanej próby. Każdą wolną chwilkę poświęca odtąd zespół indywidualnemu, jak najlepszemu pamięciowemu opa-

Poniżej:
BYLE PRAWIE „NA PAMIĘĆ" OPANOWAĆ TEKST!
Nawet czekając na tramwaj, w drodze na próbę, uczy się artysta swej roli. Szkoda każdej chwili, co ucieka, bo tekst „w głowie", to grunt!





Na lewo:
REFLEKTORY DZIAŁAJĄ SPRAWNIE! KURTYNA W GÓRĘ!
Dźwignia przesunięta. Snopy światła padają na scenę. Elektrotechnik czuwa nad połączeniami kabli i zmianą natężenia prądu. Sztukę rozpoczęło.



Na lewo: **PREMIERA W PEŁNYM TOKU!**
Nie milkną brawa i owacje dla artystów. Zespół zdał świetnie egzamin swych trudów. Sztuka ma zapewnione powodzenie.



nowaniu ról. To pierwszy warunek powodzenia sztuki. Pewność grającego. A równocześnie poruszone są wszystkie „sprężyny" teatru. Kostiumeria, rekwizytornia, fryzjernia, pracownia krawiecka, dekoratorzy, malarze, stolarnia teatralna i elektrotechnicy. Sztuka wymaga często strojów pewnej historycznej epoki. Muszą być one przygotowane fachowo, wiernie i dla każdego z grających odpowiednio. Szpady, hełmy, dzidy, mundury, suknie, fryzury, wygląd wnętrza, efekty świetlne itp. „balast sztuki" winien być respektowany z drobiazgową sumiennością — bo krytyka gotowa „położyć" dzieło na obie łopatki... Po kilku tygodniach następuje wreszcie gorączkowo oczekiwany przez współgrających i dyrekcję „wielki dzień" próby generalnej. To już niby premiera — tylko bez widzów! Galowo! w kostiumach i pełnej charakteryzacji! Jakże wówczas inaczej wygląda sztuka! To jest gra, nie czytanie z tekstów i ciągłe poprawki reżysera czy inspicjenta... Chociaż, ale to bardzo rzadko, i teraz

Fot: Witzleben i Peters





Na prawo:
TŁO, TŁO DLA AKCJI!
Precyzyjnie ustawiać trzeba dekoracje. Oczom publiczności nic nie ujdzie. W tym sęk!

KRYTYKA MA GŁOS!
Starannie opanowana i z „wczuciem się" odtworzona rola przynosi artyście miłe słowa krytyka teatralnego i jest mu zachętą do dalszej pracy.

Powyżej:
„MASKA" NA UKOŃCZENIU!
„No, kolego, jeszcze wąsy i gotów! Tylko mocno przylepić, by nie było kłopotu . . ."



Na prawo:
RZUT OKA NA OŚWIETLENIE SCENY
Próba generalna zaraz się zacznie. Czy aby ze światłem wszystko w porządku?

Poniżej:
ACH! TA REKWIZYTORNIA!
Od nowoczesnego telefonu do starożytnej kuszy — słowem wszystko! Pewnie nawet dziada i baby nie brakuje! A wyznać się w tym — to też już sztuka!

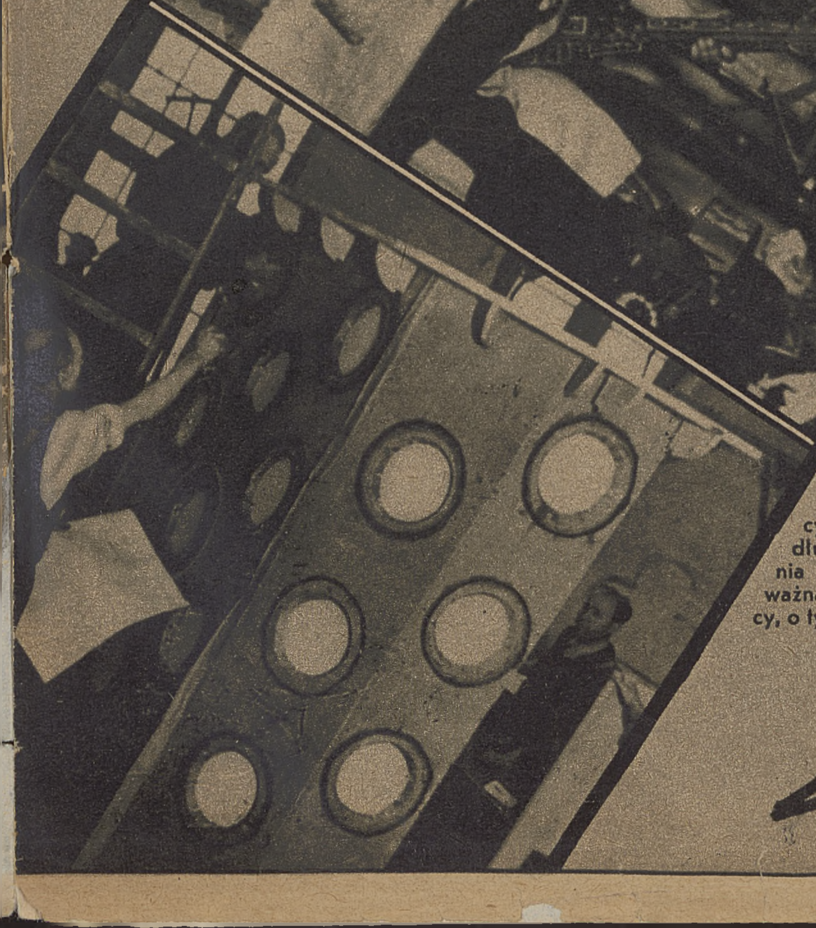


jeszcze znajdzie się jakaś ostateczna poprawka. Reżyser, bacznym okiem śledzi każdy gest, każdy ruch artystów... Sztab techników i monterów czuwa nad przekładniami i wyłącznikami sieci oświetleniowej... W garberobach migają w lustrach uszminkowane twarze, mienią się ubiory... ... A gdy pod strop wysprzedanej do ostatniego miejsca sali wzbiją się oklaski, gdy wywoływani entuzjastycznie artyści zbierają hołdy zachwyconych widzów, gdy kosze świeżych kwiatów staną w pośrodku sceny — w tym momencie jakże żywo i radośnie bije serce teatru — tych wszystkich istot dających mu miano, czy podziwianych z lóż i foteli, głośnych i wziętych czy nieznanych, zakulisowych pracowników wielkiego zadania, będącego pędem ku pięknu, lotem w świat mirażu i cudnej baśni, jaka w życiu cicho zwykle przepada...

Fan.-Kra

Poniżej:
NA PRÓBIE „KOSTIUMOWEJ"
Omówić wypada jeszcze to i owo. „Diwa" słucha uważnie objaśnień reżysera.



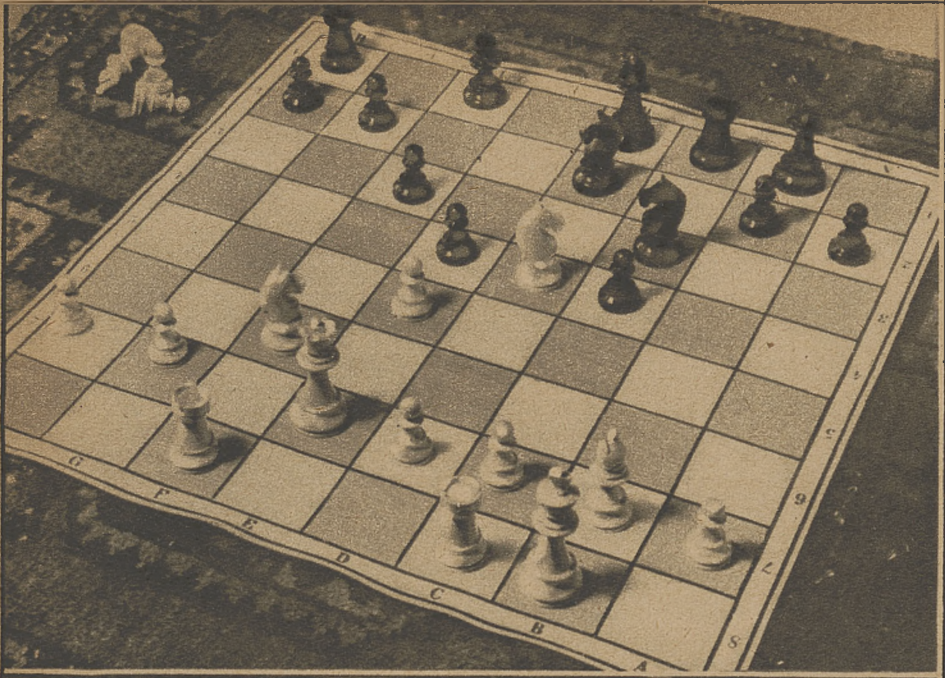


Na lewo:
I W STOLARNI TEATRALNEJ RUCH!
Szkielet dekoracyj wykonuje według rysunków stolarnia teatralna. Że jest to ważna część ogólnej pracy, o tym chyba zapewniać nie trzeba.



od A do Z

TURNIEJ MARTWYCH FIGUR



S Z A C H Y

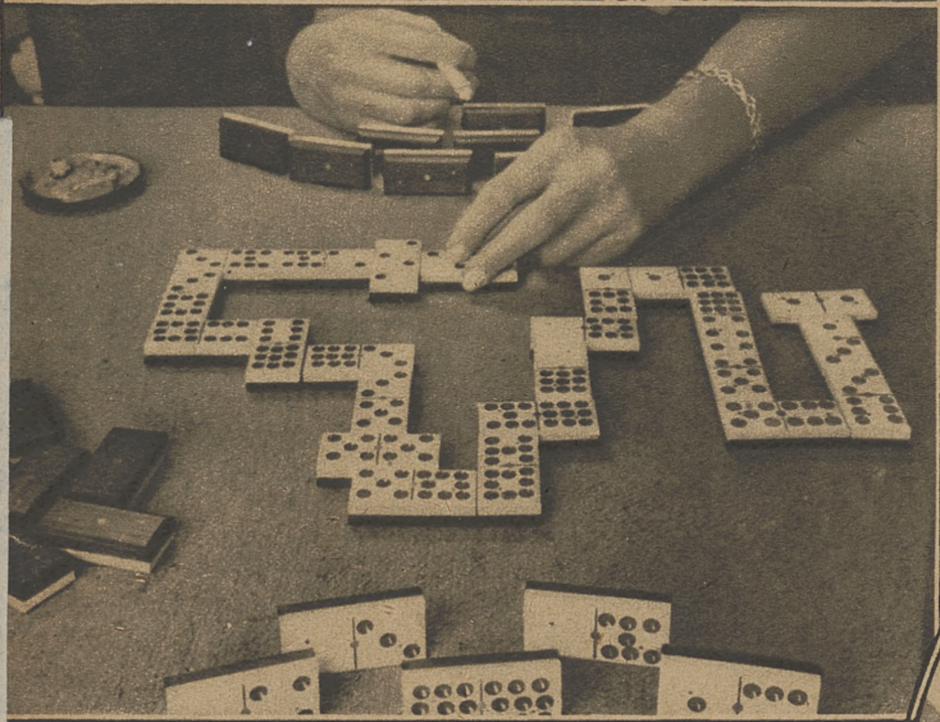
Kraśni się pole bitwy wdzięczną szachownicą.
Za wątłe piersi pionków i za końskie grzbiety
ukrył Król zagrożony sposępniałe lico.
Drgnęła wieża—runęła—zbliża się, niestety,—
wybiegł laufer w obronie, życie dać za pana
i padł, zgniecion ciężarem przeciwniczej wieży!
zasłania męża sobą Królowa oddana,
ale oto przeciwnik bliskie zęby szczerzy ———
———ruch ręki, jak myśl szybki, szachownicę [spowił,
pada ostatnia salwa — straszna! — „szach [Królowi"...

Poniżej:

„G O"...

Z krajów: Kwitnącej Wiśni i Żółtego Smoka
przyszła do nas ta dziwna i trudna zabawa,
jak cała wiedza Wschodu stara — i głęboka
(dla dzieci Europy nieco... ciężkostrawna!).
Chociaż tak przypomina nasze zacne „Pchełki",
nie potrafi jej zgłębić miękki mózg dziecięcia:
trzeba do niej mieć umysł dojrzały i wielki,
dlatego... nie próbuję nawet w grze tej [szczęścia...!...
Gdyby ktoś mimo wszystko zapalił się do niej
może wygrać (lub przegrać...) z — nosem [w Leksykonie...







D O M I N O

Mózg jak stoper odmierza gorączkowo chwile.
Tempo! Tempo!! Kto pierwszy?? Czas na wagę złota!
W oczach biało i czarno pstrzy się od wysileń:
czy źrenica potrzebną znajdzie cyfrę w kropkach... ...
Ach, „blanche"! Niech licho porwie!... (wróg oczami błyska
i śmieje się złośliwie, kładąc swe domina)—
Dwójka!? Nie ma!? Niestety! a tak była bliska
chwila, w której się w duchu gracz cieszyć zaczyna...
Pożycza. Pierwszy — nie ma! Drugi... Trzeci — fiasco!!
„Tamten" skończył, tryumfem wykrzywiając twarz swą...

Fot: Eurofot, tekst: M. A. Hessel



„P I Ą T K A"

Pięć! To przecież jest mało — a tak bardzo [dużo...
Spróbuj pięć ziarn ustawić wzdłuż, wszerz, [lub ukośnie
(czterem partnerom — cztery różne barwy [służą),
gdy cię trzech wrogów z boku pilnuje [zazdrośnie!!
Już cztery się udało! Już się cieszysz w duszy,
że przeciwnik nie bardzo ma oczy sokole...
Popatrzył w inną stronę! potem ręką ruszył
i... przed twym nosem wetknął swój punkt [w piąte pole!
Ale zemsta jest słodka! By zapobiec złemu:
jak on tobie przeszkadza, tak ty przeszkodź— [jemu!

Obok:

H A L M A

Oto głód cudzej „włości": — Chcę twe [miejsce zdobyć!
muszę je mieć — i będę! Jeśli umiesz, [broń się!! —
Więc zasadzkom — zasadzki, przeszko- [dom — przeszkody
pionkami przeciwstawią palce wojujące.
Nie spiesz się! Twarz na ręku niech spocznie [swobodnie
i myśl, jak skrzywdzić tego, co słabszy [umysłem,
lub pośpiechem ci miejsce opróżni wygodne!
Wrogi milczą — stuk tylko alarmuje ciszę:
to myśl poparta czynem omija żołnierze,
dobrnie do cudzej „włości"! Zwycięży! [zabierze!!

Hanna Borzyńska

Narzeczony z walizki

Dokończenie

Po mokrym, zachlapanym deszczem dniu nadszedł dzień jaśniejszy, rozświetlony ciepłymi promieniami słońca.

Radośniej się zrobiło, jakiś ożywczy podmuch wionął na miasto. Grażyna siedząc w wygodnym fotelu ponurym wzrokiem ślizgała się po złotej smudze promienia słonecznego, rysującego się wspaniałą linią na miękkim dywanie.

Zdało się, że szło od niego jakieś ciepło, jakiś uśmiech!

Grażyna skuliła się mocniej w fotelu.

Ciepło...

Czyjeś dobre, kochane ramiona, złote rozwiane włosy i uśmiech taki właśnie jasny, radosny, pełen szczęścia i miłości...

Snują się jej przed oczyma dalekie, zamglone obrazy...

Ten mocny uścisk... uścisk największej miłości i oddania — uścisk matki.

Grażyna oparła o poręcz fotela rękę, schyliła głowę i rozpłakała się tak żałośnie, boleśnie, jak małe bezradne dziecko.

Była sama... Ojca nie znała całkiem, a matka? — Po niej został właśnie taki ciepły obraz dziecinnej beztroski i zostało jeszcze coś... mała garsteczka klejnocików najdroższych jej pamiątek.

Złote obrączki, śliczny delikatny pierścionek, kilka branzoletek i maleńki medalionik z króciutkim napisem: „Zosi, swemu promyczkowi — matka". Ten medalik dokładnie utkwił w pamięci Grażyny.

Zwisał na cieniutkim łańcuszku na białej, prześlicznie kształtnej szyi matki. Gdy w ogrodzie ukazywała się jej postać, roześmiana Grażynka opuszczała grono swoich małych przyjaciół i z srebrzystym śmiechem pędziła do matki wpadając w jej otwarte ramiona i całowała z dziecinną radością czoło, policzki, włosy, oczy, usta matki, zanosząc się przy tym ze śmiechu, a potem zawsze pochylała swą główkę i całowała „złotą Bozię".

I tuliła ją matka w bezgranicznym, miłosnym uścisku.

Grażyna łkała... boleśnie przywołując te dawne echa do swej pamięci. I wszystko musiało zginąć — szeptała rozżalona, wszystkie moje skarbki... Zerwała się nagle z fotela i zapłakana wpadła do sypialni, gdzie stała ta nieszczęsna walizka. Otwarła ją z jakąś złością i prędkimi ruchami poczęła wyrzucać bez ładu i porządku wszystko w powietrze, jeden kawałek za drugim...

Fruwały męskie koszule, krawatki, chusteczki, spadając w kolistych łukach na podłogę. Ukazało się w końcu dno, zasłane czystym, jasnym papierem. Grażyna połykając jeszcze łzy przypatrywała się uważnie, szukając gdzieś podpisu właściciela. W końcu szarpnęła papier i... krzyknęła zdziwiona. Na dnie walizki leżała duża fotografia bardzo przystojnego mężczyzny.

Grażyna wzięła ją do ręki.

Gdzieś te oczy widziała, taka ciemna, gęsta oprawa, a oczy tak jasne...

— Ach! tam, w wagonie wsiadł na którejś stacji...

Z zaciekawieniem teraz śledziła regularne rysy twarzy, wysokie czoło, prosty, szeroki dość nos i wąskie, znamionujące upór usta.

Głośny, dwukrotny dzwonek przerwał jej zajęcie.

Ach, to Roman, pomyślała z niechęcią i nagle wpadła jej świetna myśl do głowy. Błyskawicznie skoczyła do swego gabinetu, postawiła na biurku fotografię nieznajomego i rzucając Małgorzacie „poproś pana do gabinetu" wróciła do sypialni. Wzięła grzebień i stanęła przed lustrem.

W oczach jej teraz paliły się dziwnie łobuzerskie, zawadiackie ogniki, zniknęły gdzieś łzy...

Słyszała odgłos męskich kroków, skrzyp otwieranych drzwi i głos Małgorzaty.

— Proszę poczekać, pani zaraz przyjdzie.

Uśmiechnęła się i prędko zabrała się do uporządkowania swych włosów.

Miała jasne, złociste długie i bardzo grube warkocze, zgrabnie upięte nad białym, alabastrowym czołem w wysoką koronę.

Była bardzo ładna.

Zgrabna, wysmukła o niezwykle miłej twarzyczce oprawionej dwurzędem złocistych kos, — niezwykle jasna, biała prawie cera, rozświetlona dwojgiem ogromnych czarnych oczu, palących się wciąż ogniem jakiegoś młodzieńczego temperamentu, porywu wiosny..., nos prosty, drobny i usta kształtnie wykrojone, wygięte dziwnie dziecięcym kaprysem. Prędkimi ruchami przechyliła jeszcze flaszeczkę perfum, od której rozszedł się przemiły zapach, wyciągnęła szufladkę, wyjęła z niej złoty pierścionek, który wsunąwszy na palec pchnęła drzwi.

Zrobię świetny kawał, szepnęła uśmiechając się radośnie.

Roman znał ją od dziecka, był nawet z nią spokrewniony w jakiejś dalekiej linii. Przez pewien czas wychowywany z nią razem u ciotki w starym dworze, znajdował 12-letni młodzieniec specjalną przyjemność w bawieniu się w zaczarowaną księżniczkę z Grażyną. Grażynka wyciągała wtedy wszystkie suknie ciotki z szafy, aby mieć „królewską szatę", Roman zaś pokonywując przeróżne przeszkody, zabijając potworne smoki, zawzięcie walcząc z wielkoludami, nim doszedł do pokoju księżniczki łamał kilka krzeseł i koniecznie rozbijał kilka ulubionych przez ciotkę flakonów...

Później nie widzieli się długie lata.

Spotkali się dopiero w Krakowie, kiedy Grażyna już w kwiecie swej młodości jako 22-letnia panna zdołała zachwycić go swoją urodą. Grażyna widziała w nim tylko swego towarzysza dziecinnych lat i na każdym kroku starała mu się to podkreślić. Roman nie zadowolony z takiego obrotu sprawy starał się za wszelką cenę zmienić sytuację.

Gdy weszła stał przy biurku trzymając w ręce fotografię nieznajomego. Położył ją i podchodząc uchwycił obie jej ręce całując je.

— Jakże się mamy Królewienko, jak tam urlop, co porabia ciotka, co słychać we dworze???, nie mogłem doczekać się twego przyjazdu.

Grażyna zaśmiała się.

— Romek, zasypujesz mnie takim stosem pytań, że nie wiem, na które odpowiadać. Siadaj, proszę. Wiesz, puścimy sobie patefon, mam kilka doskonałych nowych płyt, mówiła wysuwając ładną skrzynkę elektrycznego patefonu.

Nie usiadł lecz zbliżył się do niej biorąc w ręce płyty i przeglądając je.

„Walc z tysiąca jednej nocy"... cóż to będzie?

Popłynęła cicha, prześliczna melodia.

— No i cóż nowego? — rzekł, siadając obok niej na tapczanie.

— U ciotki było cudownie, wiesz, można teraz w starym dworze przeżyć szalenie dużo emocji.

— Więcej niż dawniej Królewienko? — zaśmiał się Roman. — Pamiętam jak brałem w skórę za te flakony, to też bądź co bądź emocja...

Urwali słuchając przez chwilę płynącej melodii...

— Prześliczna płyta.

— Prawda? cieszę się, że ci się podoba, zresztą ta musi się każdemu podobać.

— Pewno, twoja ulubiona, zarozumialcze, — rzekł wstając z kanapy.

Zbliżył się powoli do biurka i wziąwszy zdjęcie podszedł znów do niej.

— No, a to Grażynko? czy to też powód emocji?

Zaśmiała się, czując że się rumieni.

— Nie bądź taki ciekawy Romanku.

— No, proszę cię, powiedz!

— Hm... dobry sobie, musisz przyznać, że pytanie cudnie dyskretne.

Śmiała się wesoło.

Roman zaśmiał się też, — ale przecież w imię naszej stuletniej znajomości odpowiedz bodaj jednym słówkiem.

Mocny zgrzyt patefonu przerwał rozmowę. Roman podbiegł w tamtą stronę głośno wyrzekając.

— Nawet nie położyłaś następnej płyty, cóż to znaczy przeżywać emocje, po prostu tracisz głowę. No, ale to cię nie uwolni od odpowiedzi.

Lekko przechylała głowę, a na twarzy jej malował się jaśniutki, ledwo widoczny rumieniec.

— No więc — rzekł zbliżając się.

— To mój narzeczony — odpowiedziała trochę nieswoim głosem.

— Co? Witold jest twym narzeczonym? — wykrzyknął Roman.



— Witold — szepnęła zdziwiona, ale zaraz opanowała się i chcąc ukryć swoje zmieszanie wzięła do ręki zdjęcie, pytając Romka skąd go zna.

Roman już też ochłonął z pierwszego wrażenia i odpowiedział, że przecież Witold jest jego przyjacielem.

— Ale że on się zaręczył, cóż mu się stało?

— Gdzieżeście się poznali?

— Kiedy byłam kilka dni we Lwowie poznaliśmy się przypadkowo.

— Witold we Lwowie? — zawołał coraz więcej zdziwiony Roman.

Grażyna doznała uczucia jakby usuwała się jej powoli ziemia spod nóg.

Alem wpadła w kabałę, — pomyślała błyskawicznie.

— Tak Romciu we Lwowie, przypadkowo tam się znalazł i poznałam go u znajomych, ale że i ty go znasz, świetny splot znajomości.

— Napijemy się kawy — skierowała rozmowę na inne tory dzwoniąc na Małgorzatę.

— Mamy Romciu te nasze ciastka ulubione.

Zaśmiali się znów obydwoje.

— Proszę, proszę, — rzekł przeciągle, trzymając jej drobną rączkę w swej ręce i przyglądając się prześlicznej roboty pierścionkowi.

— Dziwne to, Witold zaręczony — mruczał pod nosem.

— Dlaczegóż takie dziwne?

— Jak to nie wiesz?

— Bez ogródek każdej mówił, że nigdy w życiu się nie ożeni. Znany z tego od szkolnych jeszcze lat. I mimo to ma piekielne szczęście.

Z drugiego pokoju rozległ się szczęk potracanego szkła i Małgorzata oznajmiła, że kawa już gotowa.

— No, ale bądź co bądź lepiej że on, a nie kto inny — mruczał jeszcze Roman przechodząc do jadalni.

— — — — — — — — —

Roman otwarł szeroko okno w łazience i rozebrany do połowy mył się w lodowatej wodzie, rozpryskując ją przy tym wokoło.

Rozległ się nagle dzwonek, tak niebywały o rannej godzinie.

Romek klnąc podbiegł do drzwi i trzęsąc się z zimna wrzasnął:

— Kto tam do licha!!!

— Otwórz, draniu, tak mnie witasz? — odpowiedział rozweselony męski głos.

— Witold! — ryknął Roman otwierając szeroko drzwi.

— Wariacie, przecież zamarzniesz na kość, hartujesz się czy co? — wrzasnął Witold, wsuwając walizkę i rozbierając futro.

— Pakuj się do pokoju, — odpowiedział Roman — ja już się ubieram i przychodzę.

Witoldowi nie trzeba było powtarzać. Otworzył drzwi kawalerskiego pokoiku i bez najmniejszego skrępowania runął z butami na kanapę.

Roman po chwilce wpadł też do pokoju kończąc jeszcze swą garderobę.

— Na mojej cudnej kanapie wyłożyłeś się z kopytami — zakrzyczał rzucając się ku przyjacielowi. — Witold, gratuluję ci!

— Czego — zdziwił się Witold siadając.

— Jak to czego? nie bądź taki tajemniczy, masz całkiem dobry gust.

— Zgłupiałeś! — ryknął Witold.

— Słuchaj, jeszcze nie, ale że ty robisz ze mnie idiotę, to fakt.

Zaśmiali się obydwaj.

Witold wstał i rzekł — Czekaj, pokażę ci coś.

Wciągnął walizkę do pokoju, otworzył ją i objaśnił:

— Zobaczysz w jakie szatki się z kolei ubieram.

Powoli zaczął wyciągać z pocieszną gestykulacją przeróżne sukienki, później jedwabne koszulki.

Roman śmiał się serdecznie.

— Wozisz jak widzę już szmateczki swojej narzeczonej.

— Do licha! powiedz w końcu, kogo mi wmawiasz?

— Jak to wmawiam. No przecież Grażyna jest twoją narzeczoną, przyznała się do tego.

— Przyznała się! słowo daję, świetny kawał! Któż to jest ta Grażyna?

— Nie udawaj, Witold, masz przed sobą jej walizkę i jeszcze udajesz głupka.

— Słowo daję, że nie znam żadnej Grażyny — zaklinał się Witold, — walizkę po prostu wymieniłem ze swoją, gdyż jest łudząco podobna...

Teraz Roman zanosił się od śmiechu.

Witold zbliżył się do niego.

— Słuchaj, kochanie, czy aby nie potrzebny ci zimny okład?

Roman poderwał się nagle.

— Więsz Wit, musisz mi zrobić koleżeńską przysługę.

— Otóż ta pani, z którą zamieniłeś walizkę to jest moja... kuzynka i wiesz..., no! po prostu, chcąc pozbyć się mnie powiedziała na twą fotkę, że jesteś jej narzeczonym. Gra świetnie rolę. Teraz ja się ubawię. Teraz ty będziesz nabijał ją w butlę! zgoda?

— — — — — — — — —

Grażyna była bardzo zła na siebie. Niepotrzebnie „nabujała" Romka, a przez to przekreśliła możność dowiedzenia się nazwiska nieznajomego i odzyskania walizki. Co prawda świadomość, że walizkę jej ma przyjaciel Romka dawała jej pewność, że ta nie zginie, ale tymczasem dni leciały jeden za drugim i nic...

Nie wiedziała jak wybrnąć z sytuacji, czy przyznać się?!

Otwarła drzwi na przyprószony śniegiem balkon i narzucając płaszcz wyszła na świeże powietrze.

Za chwilkę jednak wsunęła się Małgorzata, oznajmiając, że przyszedł jakiś pan i że poprosiła go do gabinetu.

Energicznie otwarła drzwi i stanęła zdumiona... Momentalnie poznała... przed nią stał nieznajomy...

Twarz jej powlekł mocny tym razem rumieniec, a pierś uniosła się w szybszym oddechu.

Witold przez ułamek sekundy przypatrywał się jej, jakby oceniając, później zaś z głośnym objawem radości podszedł do niej i całując jej ręce przyciągnął ją do siebie, obejmując wysmukłą jej figurkę mocnym, szerokim ramieniem. Chciała cofnąć się zmieszana, lecz silnym ruchem, który nie zna sprzeciwu przyciągnął ją znów ku sobie, szepcząc cicho...

— Grażynko, ach wreszcie cię widzę! — nie wiesz nawet jak bardzo tęskniłem za tobą, moja śliczna, kochana, maleńka...

Grażyna znów szarpnęła się oburzona, lecz Witold nie ustąpił. Jedną ręką przytrzymywał jej ręce, drugą objął śliczną twarzyczkę i przytulając ją bliziutko przycisnął gorące swe usta do jej usteczek...

— Moja ty, moja najdroższa, maleńka, szeptał znów... lecz Grażyna tym razem energicznym ruchem wyrwała się z jego ramion. Twarz miała prawie purpurową, a czarne oczy świeciły się jej jak dwie przeraźliwe błyskawice. Witold patrzał na nią z przyjemnością...



W Grażynie kipiała złość. Widziała śmiałe spojrzenie jasnych oczu, trochę ironiczny uśmiech i tłukł się jej w uszach ten pewny siebie głos...

— Nie znam pana i nie życzę sobie, żeby kiedykolwiek przychodził pan do mego domu!!

Witold z flegmą podszedł do biurka i wziąwszy fotografię w ręce oglądał ją chwilkę, a później wyjąwszy pióro rzekł...

— Napiszę dedykację, a może moja śliczna pani udobrucha się w międzyczasie.

Pomyślał przez chwilę, a później skośnym, męskim pismem napisał.

Prześlicznej Złośnicy ofiaruje

Narzeczony z walizki...

Grażyna stała niezdecydowana, czy obrócić wszystko w żart, czy zażądać zwrotu walizki i wyprosić go?

Nagle dzwonek rozdarł ciszę i po chwili wszedł Roman.

— Dzień dobry Grażynko, ach! to ty jesteś tutaj!! — rzekł, kierując się ku przyjacielowi.

Grażyna zmieszana, sama nie wiedząc co zrobić podeszła do patefonu i zaczęła przewracać płyty.

Panowało głuche milczenie.

I nagle Roman podszedł do Grażyny i biorąc ją za rękę, rzekł...

— Pozwolisz, że przedstawię ci mego przyjaciela...

Podała mu pomału rękę i nagle wszyscy troje wybuchnęli głośnym, jasnym śmiechem...

— — — — — — — — —

Stopniały już zimowe śniegi, wyschły błota.

Przyroda w pierwszym wiosennym rozkwicie królowała nad światem.

Tysięczny chór skrzydlatych śpiewaków zlewał się w potężną, barwną melodię...

Było tak jakoś dobrze, przyjemnie...

Witold z Romanem szli wzdłuż alei jasnych akacyj, rozkoszując się ciepłem pierwszych promieni.

Witold zerwał liść i obrywając listeczki zaśmiał się...

— Wróżę sobie!

— Cóż chcesz się dowiedzieć?

Witold zaśmiał się w odpowiedzi, i rzucając obdartą gałązkę na ziemię zawołał:

— Jednak przyjacielu, będziesz mi musiał oddać swoją kuzynkę!! Wyrzeknę się chyba dla niej moich dawnych zasad.

LAMPKA ELEKTRYCZNA

(NOWELA IRRACJONALNA)

Uśmiechała się z wystawy sklepowej do wszystkich przechodniów mierzących raz szybkimi, raz powolnymi krokami spękane płyty chodnika. Najchętniej jednak odbijała we własnym szkle codzienny uśmiech szarych oczu Strzygonia. W końcu poczęła go wabić ku sobie lśniącą emalią pokrywy.

Drgnęła ze wzruszenia, gdy pewnego razu dźwięk dzwonka wiszącego nad wejściowymi drzwiami sklepu zwiastował jej jego przyjście. Zabierze ją, jako rzecz swoją na zawsze i powiedzie drogami płynącymi w ciemność. Bo cóż by tu chciał kupić innego? Pogardliwym spojrzeniem obrzuciła półki [illegible]żące ku ziemi pod brzemieniem drobia[illegible]ów ze szkła i metalu.

— Widziałem u pana na wystawie lampkę [illegible]ktryczną, taką czarną — jakiż ten Strzy[illegible]ń ma jednak dźwięcznie miły głos — [illegible]ciałbym ją nabyć...

— Służę uprzejmie — subiekt zgiął się [illegible]żowo w półukłonie i długimi, zręcznymi [illegible]lcami wygrzebał ją, właśnie ją, spośród współtowarzyszy wystawowej doli i niedoli.

Z jakąż rozkoszą wtuliła się w kąt kieszeni płaszcza swego nowego władcy. Szeptała mu te słowa pełne sympatii, uznania, proste, a gorące, przepojone spośród wszystkich wybranym uczuciem.

Podobała się Strzygoniowi, to pewne. Błądził tedy puszkami palców po powierzchni jej blaszanej pokrywy, co sprawiało mu rozkosz dziwnie dojmującą. Nie wiedziała, dokąd ją niesie porywczymi krokami. Ocknęła się z upojenia dopiero, gdy wyrwał ją z czeluści kieszeni i nacisnął brutalnie — zapewne niechcący — w czułe miejsce — kontakt. Wyemanowała z siebie natychmiast wszystko, na co ją tylko było stać. Jasny krąg światła zwęził źrenice stłoczonych w wagonie pasażerów pociągu kursującego na linii Radom — Dęblin.

Chlusnęli na jej ukochanego potopem przekleństw...

— Zgaś pan, do cholery!

— Psiakrew! Nie świecić w oczy!

...jakby to on był winien ostrości błysku jej szkieł. Przyćmiła ich odblask natychmiast. Mimo to Strzygoń podrażniony wyrwał nerwowo kontakt z jej wnętrza.

Służyła mu potem wiernie przez wiele, wiele nocy ciemnych i burzliwych, rozjaśnionych nieco mdłymi połyskami filuternych gwiazd lub purpurą wschodzącego miesiąca. Przy tym lubiła go coraz więcej. Można by już nawet powiedzieć, zaryzykować twierdzenie, że... kochała...

Aż raz...

Jechał tym samym pociągiem, co w dniu, kiedy ją zabrał z szarzyzny wystawy sklepowej, by powieść w bajeczną kolorowość zdarzeń. Tak samo oświetlił nią wnętrze przedziału. Dostrzegł wówczas w kącik jego wtuloną młodą, ciemnowłosą dziewczynę. Z miejsca przysiadł się do niej. A lampkę lekceważąco wsunął do kieszeni.

Zatrzęsła się z oburzenia i wstydu. Uspokoił ją brutalnym uściskiem, ale nie zdusił, nie stłamsił gniewu nurtującego serce-baterię. Skamieniało. Nie drgnęło nawet, gdy szeptał czułe słówka... innej. Dziewczynę porwał rozmarzeniem, komplementami. Szczebiotała po chwili uszczęśliwiona przekomarzając się z nim wesoło.

— Może mi pan poświeci. Zdaje się, że zgubiłam...

Strzygoń usłużnie wyszarpał lampkę z kieszeni. Nacisnął guziczek kontaktu. A ciemność w wagonie stała się jeszcze bardziej atramentowa, nieprzenikniona. Daremnie tarmosił ją niemiłosiernie — światła na usługi swojej konkurentki nie dała. Dopiero, gdy ta opuściła przedział wysiadłszy w Pionkach, rozbłysła gamą jasnych promieni. — Strzygoń bowiem nie wyłączył był dotąd kiamki do jej serca.

I powtarzała się podobna historia razy kilka. W obecności uroczej Halinki lampka Strzygonia światła nie dawała i już! Jemu samemu natomiast służyła ochotnie, nerwami i sercem. Aż... przejrzał. Poburczał na nią trochę, bo poburczał, ale...

— Z was obydwóch bardziej tyś mi w życiu potrzebna, niż ona — powiedział pieszczotliwie i przytulił drżący wzruszeniem policzek do czarnolśniącej emalii jej szaty.

— — — — — — — — —

Spieszę uspokoić p. Halinkę z Pionek, w towarzystwie której jeżdżę od czasu do czasu wiadomym pociągiem, iż ja ... mam lampkę — owszem — ale pomalowaną na zielono i oprócz tego nigdy nie odmawiającą nikomu świetlnej przysługi. Tak, że powyższe zdarzenie jej się w żadnym wypadku tyczyć nie może.

głóg

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900.

NIEDZIELA

NAPISAŁA LENA-LEN

„Przedwczesnym latem
w czerwcu po południu,
piosnka przychodzi,
sama nie wiem skąd,
dziwna piosenka
uśmiecha się przecudnie,
słowami, które płyną
i nie wiem czyje są...

Za oknęm blask pada,
słoneczny, jasny blask
cicho opowiada, długo opowiada
wiosenny wiatr i letni wiatr...

Urwała się melodia, ostatnie słowa przebrzmiały cichutko, ledwo dosłyszalnie.

Był czerwiec. Miesiąc spowity łuną młodego żaru, jeszcze niezupełnie dojrzałego. Wyrywały się dnie gorące, spragnione, niemogące doczekać się lata, całowały namiętnie blaskami brunatną ziemię, dopiero niedawno rozbudzoną...

O tym myślał młody lekarz na balkonie pensjonatu w Zakopanem. Urzekła go piosenka, którą śpiewała przed chwilą nieznajoma sąsiadka w pokoju obok. Wydało mu się, że popołudnie czerwcowe przeglądnęło się w lustrze piosenki, słowa harmonizowały doskonale z nastrojem chwili. Ciepły wiatr harcował po klombie białych bratków.

Marian Ligocki przyjechał przed godziną. Zmęczony całotygodniową pracą w Krakowie wybrał się na niedzielę w góry. Chciał zapomnieć o szpitalu, chorych, odetchnąć słońcem. Już od szeregu tygodni czekał na wolny dzień. Zależało mu na samotności. Nie słyszeć telefonu, nie patrzeć przez dwadzieścia cztery godziny na zegarek, nie spieszyć się. Wysoki, przystojny, brunet o ciemnobłękitnych oczach miał powodzenie. Podobał się kobietom i może dlatego właśnie dotychczas się nie zakochał. Przystanąć przy kimś — owszem — na kilka godzin, na parę dni, obejrzać owal, rysunek ust, karnację ciała — i żegnaj. Jutro, może pojutrze, czasem za miesiąc następna — i znów to samo. Różnica minimalna — a serca ani odrobinkę. Czemu? Trzydziestoletni mężczyzna dziwi się samemu sobie. Stoi na balkonie i snuje tefleksje. Co skłoniło go do tego? Czemu spogląda na balkon obok? Urzekły go słowa, czy melodia? Co mu przypomina piosenka, najprawdziwsza piosenka popołudnia, odzwierciedlająca prawdę. Nasuwa się wspomnienie. Jeden raz w jego życiu ktoś odbił nastrój na kliszy słów w misternie ułożonych zdaniach. Był wtedy początkującym lekarzem. W zastępstwie jednego ze starszych kolegów miał dyżur w szpitalu jedną, jedyną noc, prawie sześć lat temu.

W separatce na pierwszym piętrze leżała młodziutka dziewczyna, dziecko prawie. W wspomnieniu wyłaniają się jasne warkocze, rozrzucone na poduszce, w świetle małej lampy błyszczą duże oczy. Zdaje mu się, że słyszy słowa: — Panie doktorze, niech pan nie odchodzi, ja się boję. Za oknem deszcz, ciemno, noc jest długa. Panie doktorze, proszę zostać! — Z wdziękiem dziecinnie-kobiecym tłumaczyła mu, że się nie będzie nudził.

— Proszę wziąć notes na recepty, podyktuję panu kilka słów o szpitalu i listopadowej nocy. Na pamiątkę! Dobrze?

Wtedy spełnił prośbę nieznajomej panienki.

Marian Ligocki wyjął z portfelu pięć maleńkich arkusików i czyta:

Biało — blado. Po długich korytarzach włóczy się gorączka. Wybija na schodach 37,1 — 37,2. Najpierw stąpa lekko i patrzy przez szpary drzwi 37,3 — 37,4. Wtem pędzi, pędzi po schodach, rozgrzewa kamienne stopnie stopniami temperatury ciepła 38,5 — 39,5. Otwiera naoścież białe drzwi, dmuchnie gorącem w bladą twarz. Na korytarzu snuje się gorączka, na schodach wybija wolno: 36, 37, 42.

Dwudziestaczwartapięć, dwudziestaczwartadziesięć, sekundy, minuty wloką się i ciążą. Gorączka liczb w mózgu tłoczy się. Dwudziestaczwartapięć, tętno 82. Pomnożyć oddech, policzyć bicie serca, uchwycić ilość skurczy bólu.... liczyć, liczyć, liczyć i niech noc przejdzie.

Pokój jest biały, twarze są blade, ale noce, noce są czarne. Liczyć kostki posadzki, układać mozaikę myśli, wpatrywać się w rumieńce....

Raz, dwa, trzy, cztery. Jest listopad, uderza w szyby chichotem i szepce gorączce słowa miłosne do ucha.

Jest cicho, na schodach wybija takt temperatura, uderzenia tętna rozpalają skronie, tysiące chorych, biednych serc bije — ale — tego nie słychać...

Zatrzymał wzrok na ostatnich słowach — na może niedokończonym zdaniu. Nie skończyła szkicu maleńka pacjentka, usnęła, nie pożegnała się z nim. Następnego dnia opuściła szpital.

Niejednokrotnie wracała w wspomnieniach ciekawie utrwalona noc listopadowa. Przed chwilą usłyszał piosenkę, która wywarła na nim podobne wrażenie jak szkic sprzed laty. Ktoś uchwycił godzinę i wyrwał tajemnicę jej treści.

2.

— Pani jest urocza!

— To się panu tylko zdaje! Naprawdę jest zupełnie inaczej. Słońce praży niemiłosiernie i przyćmiewa, — pan się nie obrazi! — przyćmiewa zdrowy rozsądek. Znamy się od pięciu minut. Kobieta, której urok wyczuwa się w pierwszych pięciu minutach interesuje tylko... pięć minut następnych. Proszę nie zaprzeczać. Wabi tajemnica, czar nieuchwytny, kokieteria długich spojrzeń spod przymkniętych powiek.

3.

Niedziela dobiegała końca. Mrok otulał śmiało słońce bojaźliwie uciekające na zachód. Dwoje młodych ludzi wracało Halą Gąsienicową do Zakopanego. Marian Ligocki i „ktoś", kogo poznał w górach, „ktoś", kto mu się bardzo podobał.

— Nie powiem panu o sobie nic — mówiła. — Może mnie pan nazwać wesołą, słoneczną, czerwcową niedzielą. Oboje pragnęliśmy samotności, a odnaleźliśmy siebie. Dobrze było? Góry na przekór nam obojgu były zasadzką, spotkaliśmy się „niechcąco". Zostanie wspomnienie.

Mężczyzna przerwał: — Tak! Z Zakopanego zabiorę ze sobą wspomnienie.

Opowiedział o piosence, wczoraj usłyszanej, o tym jakie mu nasunęła refleksje i prosił, by przeczytała szkic młodziutkiej dziewczyny, pisany 6 lat temu. Ciekawość kobieca przemogła. Gdy skończył opowiadanie, zapytała:

— Nie dowiadywał się pan, kto mieszka w pensjonacie w pokoju obok pana?

— Owszem. Pianistka, Irena Kaliczówna. Dziś o świcie udała się na wycieczkę w góry. Rano żałowałem, że nie wstałem wcześniej, ale, skoro spotkałem moją roześmianą niedzielę...

4.

Marian Ligocki spał. Nie przeszkadzał mu rytmiczny stukot pociągu. O godzinie 9-tej rano czekała go ciężka praca. Z myślą o tym zasnął. Zbudził się w Chabówce. W przedziale był sam. Otworzył okno. Przez chwilę wdychiwał ożywcze powietrze górskiej nocy. Zakopane wydało się dalekie. Z korytarza dobiegał głos kobiecy.

— Spotkamy się na pewno!

Jakaś pani żegnała współtowarzysza podróży.

Marian się uśmiechnął. Jego znajoma, czy nieznajoma (nie wiedział jak ją nazwać) z gór przed kilkoma godzinami powiedziała to samo.

5.

Młoda jesień złociła planty. Delikatnie chwiały się różnokolorowe liście na wietrze i nie miały zamiaru spadać. Jeszcze czas. Chcą żyć! Wypić do dna gorejące promienie słońca — silne wrześniem.

Marian Ligocki spieszył się do szpitala. Za pół godziny miał rozpocząć poważną operację. Zwykle doskonale opanowany, dziś odczuwał zdenerwowanie i nie wiedział czemu to przypisać.

Nagle coś sobie przypomniał. Wyjął z kieszeni niewielki bilet wizytowy, zaproszenie na koncert w Towarzystwie Młodych Muzyków, poświęcony muzyce Chopina. Wykonawczynią laureatka konkursu młodych pianistów, Irena Kaliczówna. W ciągu kilku tygodni parę razy obiło mu się o uszy to nazwisko. Młoda artystka była chlubą Krakowa. Wczoraj zdziwił się ogromnie, że przysłano mu zaproszenie na wieczór, który miał się odbyć w ścisłym gronie młodych muzyków. Zmarszczył brwi. Powtórzył nazwisko kilka razy: Irena Kaliczówna, Irena — już wie. To ona mieszkała w Zakopanem w pokoju obok. Wróciło wspomnienie niedzieli.

— Dobrze! Ale co ona ma wspólnego ze mną? Nie pójdę!

6.

Mężczyźni są niekonsekwentni. Oczywiście poszedł. Spóźnił się, bo operacja trwała długo.

Usiadł w ostatnim rzędzie. Mazurek wykonany z temperamentem, brawurą skończył się mocnym akordem. Nieoczekiwanie rozperliło się staccato Scherza B-moll. Palce stąpały lekko po klawiszach, ledwo dotykając. Na widowni było bardzo cicho — i popłynęła ballada, leśne opowiadanie o elfach i boginkach przy akompaniamencie strumyków i szumu liści. Pianissimo rozsnuły tony tęsknotę, wiolin marzył, wabił rozkoszą niedokończonego tematu, uciekał, by powrócić melodią zaklętych minut w tajemnicy taktów przyszłych. Śmiały się rozdrgane gamy w różnych tonacjach, w pląsach wdzięcznych roztańczyły klawiaturę i — posmutniały. Błąkały się samotne dźwięki odległe — zamierające w oczekiwaniu...

Martwa minuta milczenia — a potem oklaski, trwające długo.

Światła na widowni rozbłysły. Pianistka wstała. Ukłonami i uśmiechem dziękowała za owacje i kwiaty, przysłane przez kolegów i wielbicieli. Marian Ligocki oczom nie chciał wierzyć. Uśmiechnięta, słoneczna „jego niedziela" stała na scenie, to ona była pianistką Ireną Kaliczówną, tajemniczą sąsiadką z pensjonatu i znajomą z gór.

Przewodniczący Towarzystwa Młodych Muzyków podziękował w serdecznych słowach za dwie godziny prawdziwej uczty artystycznej.

— Niespodziankę sprawiła nam pani — mówił. — Przyznam się, że przed laty, gdy poznałem panią jako piętnastoletnią dziewczynkę, sądziłem, że raczej zdobędzie pani sławę pracą literacką niż muzyką. Zadziwiała pani wtedy doskonałą obserwacją i ciekawym, zwięzłym formułowaniem swoich spostrzeżeń. Okazało się, że pozory mylą, ale proszę nam odpowiedzieć na jedno pytanie: Czemu zarzuciła pani pracę literacką, a poświęciła się całkowicie muzyce?

Z uśmiechem odpowiedziała: — Słowa trafiają do wszystkich jednakowo. Napisane rzucają się w oczy i krzyczą zdaniem autora. Jednemu odpowiadają, drugiemu nie. Zdaje mi się czasem, że odczuwam coś głęboko, staram się ująć uczucie w subtelne ramy słów. Przychodzi ktoś i czyta.. Jeden się zgadza ze mną, inny nie. Jestem w waszym gronie serdecznych kolegów, przyjaciół i mogę podzielić się z wami dwoma doświadczeniami. Kilka lat temu leżałam po operacji w szpitalu. W nocy miał dyżur jakiś młody lekarz. Listopadowa noc wywarła na mnie silne wrażenie. Prosiłam, by napisał kilka słów, które mu podyktuję o szpitalu w nocy. Uległ mej prośbie i właśnie przed kilkoma miesiącami zetknęłam się przypadkowo z tym właśnie lekarzem, dziś znanym tutejszym chirurgiem. Nie wiedział, że ja byłam autorką miniaturki szkicu i przeczytał mi kilka moich zdań, nazwał je odzwierciedleniem nastroju godziny, do której często powraca. Ale jego słowa przyszły za późno. Kiedyś przed laty ktoś skrytykował mnie inaczej. Drugie doświadczenie jest nieco inne. Na łamach literackiego pisma i na scenie zadebiutowałam mniej więcej równocześnie. Wydałam tomik poezji „Dziewczyna". Myśli były mną, moją dziecinnie-kobiecą tęsknotą, nieskazitelną miłością matki i człowieka, który przyjdzie, przyjść musi do mnie, dla mnie. W jednym z listów, jakie potem otrzymałam ktoś ostro potępił moje wiersze, komuś moje słowa wydały się obelgą, przekleństwem. Zrozumiałam, że na podobną walkę nie mam sił. I nie było nikogo, kto mógłby mi wytłumaczyć, że moja bojaźń jest nieuzasadniona. Może nawet żal mi odrobinkę, że wtedy nie spotkałam lekarza, że wtedy ktoś nie dodał mi otuchy.

Słowa każdy może zrozumieć inaczej. Napisane pod wpływem chwili zostają, nie giną, obawiam się zawsze, że zdaniem mogę komuś sprawić ból. Dlatego nie piszę, zerwałam z twórczością literacką. Poświęciłam się muzyce. Moje uderzenie pobudza tony do życia — nic więcej. Słuchają inni, marzą inni i każdy rozumie inaczej. Melodia przychodzi i niknie. Oszołomiona symfonią dźwięków poddaję się im całkowicie. Dziś wieczorem czułam, że jestem piosenką chwili bez słów, że sama...

Urwała.

— Widzicie moi kochani, pianistka nie umie wygłaszać przemówień. Niepotrzebne są słowa...

7.

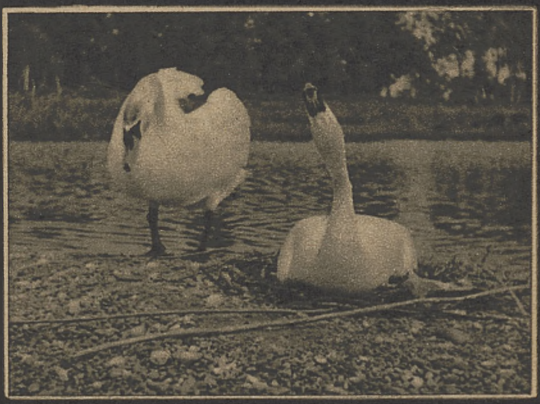
W życiu każdego człowieka są dnie powszednie i niedziele. Dnie jednostajne, monotonne i dnie pojedyncze, różniące się od innych, milsze, lepsze...

Na niedzielę się czeka, o niedzielach się marzy. Mijają niedziele co tydzień inne. Jakąś niedzielę pamięta się dokładnie, jakaś niedziela może być ułamkiem radości lat, spełnioną tęsknotą — jedyna niedziela. Potem pragnie się gorąco — by taka sama przyszła raz jeszcze...

— Moja niedziela wróciła — pomyślał Marian Ligocki i przywitał się z pianistka.

HISTORIA ŁABĘDZIOWEJ RODZINKI

FOT: „SELENOPHON" TEKST: T. BOGUSZEWSKA



Para łabędzi w nadbrzeżnym wydmuchu
usłała gniazdo z trzcin zeschłych i puchu,
a działo się to w najpierwszych dniach wiosny,
(jeszcze szuwary nad wodą nie rosły).
Nudno i całkiem podobne do siebie
biegły tygodnie za tygodniami.
... Zwolna — zielenić wokoło zaczęło,
brzeg trzciną zarósł, i rozkwitł kwiatami.



W gnieździe łabędzim, młoda przyszła — mama
wpośród szuwarów wciąż dumała sama,
i wciąż tęskniła do swych przyszłych — dzieci,
i tak wiosenne biegły dnie za dniami.
... Przy sercu matki — pod jej skrzydłami
w kępie szuwarów cichuteńko, skrycie
tworzył się z cudów największy cud — życie!



(Jeszcze dni parę, jeszcze dni kilka!)
I ... za dni kilka było prześlicznie:
w gniazdku łabędzim — łabędzia mama
w kępie szuwarów nie była sama!
Bo ... za dni kilka:
w świat, w wodę — wszędzie
biegły za mama „puszki" łabędzie!



Malachitowa jeziora łuska
złocistym blaskiem radośnie lśniąca —
stadko łabędziąt żółtych — wciąż pluska
fale jeziora w promieniach słońca!
Niebo — błękitne otworzyło oczy
i zbłękitniały nadbrzeżne szuwary —
tylko gdzieniegdzie, jak srebrzyste gwiazdy
wykwitły z toni — kwiaty — nenufary ...

KWIAT JABŁONI

Wiatr cicho płatkami szeleści
Słucham czy nie przynosi mi jakich wieści.
Lecz tylko słyszę pieśń ich rzewną,
A na nich widzę perły — to łzy na pewno.
W sercu mym zrywa się ból z rozpaczą
Bo nad mą głową kwiaty jabłoni płaczą.
W tęsknocie wznoszę ku nim ramiona
By je raz objąć, nim serce me skona.
— — — — — — — — — — — — —
I tak cicho, cichutko do mej dłoni,
Upadł uwiędły kwiat jabłoni.

Maryla Malińska

POŁUDNIE i PÓŁNOC

Obwisłe słońcem, przekwitłe cytryny —
— Lodowy start do wrogich za nocą oddali,
— Tęsknota za słońcami, z czyjej, czyjej winy!!!
Ucieczka w cienie od skwaru, co pali.
Wszystko na świecie radosne, tak proste —
— Odwieczna walka duszy z ogromem westchnienia;
Walczyć? — Dlaczego — wszystko takie proste...
— Wieczna pogoń za jakąś Syntezą Istnienia.

Mark

NIEDZIELA

Całym ciężarem zmęczonego ciała
padłem na ciepło słonecznej kałuży!
Ubiegły tydzień spadł ze mnie jak balast —
i — — — pragnę leżeć! Leżeć jak najdłużej!

Niedziela! Piję słodką nieruchomość,
sztukę lenistwa wykuwam na blachę!
— Pragnę w tej ciszy bezczynnej utonąć!
Niebo nade mną całym światem pachnie:

— Wszystko Dalekie jest mi bliskie takie,
— wszystko Nieznane — nad głową się wstęży —
jak gdyby nagle świat usiadł okrakiem
na szeleszczącej nade mną gałęzi.

I rozpostarłem swą nagość bezwstydną —
— pijak radosny, włóczęga błękitny —
i legę w siebie ławę nieostygłą,
kipiącą z jasnych, pozłacanych sytni!
— — — — — — — — — — —
Całą beztroską zmęczonego ciała
wędruję w ciepłe słonecznej kałuży —
i błogosławię szmaragdowy szałas,
— mój pociąg, bilet i sajdak podróżny!

Bronisław Król



W. Ażgiń w tańcu „kaukaskim".

Fot. Z. Wdowiński

ZE SCEN i ESTRAD WARSZAWY

Teatr „Wodewil" wystawił pełną pikanterii i sentymentu farsę „Czy jest co do oclenia?" Obsada sztuki jest doskonała: H. Chodakowska, J. Mroziński, K. Pawłowski, Z. Jamry, Z. Wilczyńska, J. Liedtke i W. Zdanowicz powodują huragany śmiechu na widowni. Reżyserował K. Pawłowski, ładne dekoracje malował prof. St. Jarocki. Farsa ma zapewnione długie powodzenie. — Warszawie przybył ostatnio jeszcze jeden kabaret artystyczny „Na estradzie" w kawiarni „Marlena". Program inauguracyjny zmontowany został bardzo starannie i stoi na wysokim poziomie co jest zasługą kier. artystycznego p. Wł. Ciesielskiego. Humor reprezentuje niezawodny Wł. Walter, śpiewają: obdarzona wspaniałym głosem młoda śpiewaczka A. Krasiejko, Z. Jamry, duet jazzowy Aleksandrow, M. Śląski, A. Kamińska i Wł. Walter (junior). Tańczy dawno nie widziana w Warszawie świetna tancerka Wanda Jędrzejakówna. Akompaniuje: Irena Aleksandrow. — W szkole baletowej Z. Pflanz-Dróbeckiej odbył się ostatnio pokaz tańca uczniów i absolwentów tego zakładu. Poranek wypadł nadspodziewanie dobrze: uczniowie produkujący się często tańcami własnych układów pokazali tańce na wysokim poziomie (tańce ludowe, klasyczne, groteski). Jeżeli chodzi o układy tańca to duże zdolności w tym kierunku wykazał B. Marlen w „Grotesce marynarskiej" wykonanej z W. Ażginem z dużym poczuciem humoru. Drugim zasługującym na wyróżnienie był taniec „Kaukaski" W. Ażgina, posiadającego jak najlepsze warunki taneczne i zewnętrzne. Z zespołu żeńskiego bardzo dobrze wypadła T. Waśkowska (poemat Fibicha), dobrze zapowiada się, jako klasyczka, K. Grunkówna, temperamentem i dużym poczuciem rytmu odznacza się E. Dorrit. Poranek uświetniły swoimi występami abs. szkoły M. Krzyszkowska i G. Kuczyńska.

Z. Bakuła

KĄCIK SZACHOWY NR 12

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

TEORIA GRY

Otwarcia.

Wstęp.

Szachy są bardzo ciekawą i piękną, lecz trudną grą. Dlatego uczący się gry w szachy, chcąc dojść do wyższego poziomu, który by im pozwolił odczuć piękno i subtelności gry, muszą wykazać dużo zamiłowania, zdolności pojmowania, cierpliwości i wytrwałości. Opanowanie gry nie jest bynajmniej łatwym, mylnym jest zapatrywanie, że sam podręcznik wykształci uczącego się na mistrza Podręcznik szachowy ma za zadanie ułatwienie uczącemu się poznania idei otwierania partii. Lecz uczący się nie powinni (po pewnym czasie) ograniczyć się jedynie do poznania pewnych zasad teoretycznych otwarcia partii, lecz muszą starać się o stosowanie ich w grze praktycznej i to zawsze z graczem silniejszym od siebie, względnie takim, który ma większe doświadczenie praktyczne. Wymaga to już dość znacznego opanowania techniki gry, gdyż poza otwarciem partii jest jeszcze środek partii i końcówka. Te dwie ostatnio wymienione części partii są najtrudniejsze do opanowania, umiejętne prowadzenie tychże wymaga już mistrzowskiej techniki i praktyki, przy czym należy zaznaczyć, że właściwie nie ma podręczników, które by ujmowały ściśle w pewien określony system środek partii, są jedynie próby tworzenia literatury w tym kierunku (Voellmy, Ed. Lasker, Snoskoborowski, Romanowski), natomiast teoria końcówek jest od dość dawna omawianą w specjalnych podręcznikach i artykułach dyskusyjnych na łamach pism (Berger, Leick, Cheron, Drtina, Dedrle) i jest już dość rozgałęzloną.

Naszym zadaniem będzie wprowadzenie uczących w tajniki otwarć w formie możliwie zwięzłej. Naczelną zasadą każdego grającego powinno być szukanie w każdej sytuacji najlepszego ruchu. Ażeby to zrozumieć należy starać się usilnym ćwiczeniem o wyrobienie w sobie poczucia pozycyjnego i podniesienia techniki gry. Pierwszym krokiem do tego powinno być (po uprzednim doskonałym — w pełnym tego słowa znaczeniu — opanowaniu ruchów wszystkich bierek) całkowite poznanie szachownicy z wszystkimi jej polami, przekątniami. Musi to następować stopniowo i stale i tylko zamiłowanie gry i cierpliwość w ćwiczeniu wyrobić może z czasem bystrość patrzenia na szachownicy, która jest nieodzownym warunkiem szybkich postępów. Dopiero po doskonalszym opanowaniu gry wzrasta zaciekawienie i zamiłowanie, gdyż wytwarza się głębsze zrozumienie subtelności i piękna gry.

Przy wprowadzaniu Czytelników w teorię otwarć będziemy się posługiwać metodami najnowocześniejszymi, ujmując ją w formie wariantów, według schematu podanego na początku każdego rodzaju otwarcia. Warianty opatrzone będą uwagami, orientującymi co do dobroci i celowości ruchów.

Uwagi podawane będą w notacji skróconej, do której każdy nieco zaawansowany musi się przyzwyczaić.

Celem partii jest zamatowanie przeciwnika, względnie w pośredniej formie zdobycie takiej przewagi materialnej, która by to ułatwiła. Obaj partnerzy wykonując naprzemian swe ruchy rozporządzają tymi samymi środkami w przetrzeni, więc nie tylko muszą mieć skierowaną uwagę na zaatakowanie przeciwnika, lecz także na zabezpieczenie siebie samego. Dobra partia jest pasmem ataków i obron, wśród których często kontratak jest najskuteczniejszym środkiem.

Teoria otwarć jest to nauka o celowym rozwoju sił bojowych na początku partii. Z pięciu pól otaczających każdego króla są najsłabszymi pola f2 i f7, gdyż są bronione tylko przez króle. Jeśli to jest możliwym i celowym — ważnym jest skierować tam ataki. Ażeby wprowadzić do działania w grze figury — koniecznym jest wysunąć najpierw piony.

Otwarcia dzielą się według nowych zasad teorii na 5 grup: 1) gry otwarte, 2) gry półotwarte, 3) gry zamknięte, 4) gry półzamknięte i 5) gry flankowe.

Dla uczących się jest najracjonalniejszym zapoznanie się przede wszystkim z istotą gier otwartych, gdyż są one stosunkowo łatwiejsze i więcej zbadane, niż inne.

CZĘŚĆ OGÓLNA

Problem Nr 5

H. E. Lohk (D. Schachbl. 1938).

Czarne: Kc6, Ga2, Gg7, Sb6, Sd5, piony: a7, b4, c7, g6, g5 (10).

Białe: Kg2, Ha6, Wb5, Ge4, Sc8, Se2, piony: d3, e6 (8).

Mat w trzech posunięciach.

Rozwiązanie studium Nr 5 (Kubbel):

1. W—h7! e×f6 (A, B, C, D). 2. W—e7+ K—d8 3. W—a7 K—e8 (E) 4. S—h6 K—d8 (F) 5. S—f7+ K—e8 6. S—h8 K—d8 lub f4 (G) 7. W—a8+ K—e7 8. S—g6+ i wygrywa.

(A) 1 . . . f4 2. W×e7+ K—d8 3. f7 f3 4. K×h2 i wygrywa.

(B) 1 . . . W—f7 2. W×f7 K×f7 3. f×e i wygrywa.

(C) 1 . . . K—d7 lub e5 2. W (×) e7+ itd.

(D) 1 . . . W×g8 2. f7+ i wygr.

(E) 3 . . . W×g8 4. W—a8+ lub 3 . . . W—e8 4. W—a8+ K—d7 5. S×f6+ i wygr.

(F) 4 . . . f4 5. S—f5 f3 6. S—g7+ poczym 7. S—e6+ i wygr. 4 . . . W—g8 6. W—a8+ K—f7 7. S—h6 wygr. lub 5 . . . W—f7 6. S—d6+ i wygr.

(G) 6 . . . W×h8 7. W—a8+ i wygr.

Partia Nr 13

Białe: R. Flores — Czarne: A. Conejeros

grana w Chile w turnieju w r. 1930.
Gra 2 skoczków w obronie.

1. e2—e4 e7—e5	12. Sg5×e6 Ke8—f7
2. Sg1—f3 Sb8—c6	13. Se6×d4 Sc6×d4
3. Gf1—c4 Sg8—f6	14. Hd1×d4 Gf8—c5
4. d2—d4 e5×d4	15. Hd4×c4+ Kf7—f6
5. 0—0 Sf6×e4	16. Gc1—e3 Gc5—b6
6. Wf1—e1 d7—d5	17. Ge3×b6 c7×b6
7. Sb1—c3 Gc8—e6	18. We1—e3 Kf6—g6
8. Sc3×e4 d5×c4	19. We3—e6 Kg6—g5
9. Se4—g5 Hd8—d7? 1)	20. h2—h4+ Kg5—h5
10. Sg5×f7 Hd7×f7	21. Hc4—e2+ Czarne poddały się.
11. Sf3—g5 Hf7—f5	

1) 9 . . . G—e7! było lepszym.

BISKUP — STUDENT

Pewien uczony biskup, tak był zajęty swoimi studiami, że częstokroć petenci musieli odchodzić z niczym od jego drzwi. Pewien wieśniak gdy już trzykrotnie nie mógł się dostać do biskupa, zawołał:

— Boże użycz nam łaski i daj natychmiast innego biskupa, który się już raz wszystkiego nauczył.

LENIUCH

— Nie pracuję nigdy — powiedział leniuch — gdyż jestem stale chory.

Na to odpowiedział mu lekarz:

— Pan będzie o wiele bliższy prawdy, jeśli powie: — jestem zawsze chory, bo nie pracuję nigdy.

Pamiętajcie, że próżniactwo jest źródłem wszystkich błędów i chorób.

WSPANIAŁOMYŚLNOŚĆ

Francuski generał podniósł pewnego razu rekę na żołnierza. Ten wściekły i oburzony chwycił za rewolwer i strzelił do swego przełożonego nie trafiając go na szczęście.

Generał zwrócił się wtedy do oficera i powiedział z wielkim spokojem:

— Zamknijcie tego człowieka do aresztu, by zrozumiał, że lepiej trzeba władać bronią.

DREWNIANA NOGA

Pewien oficer, który stracił nogę w bitwie, zrobił sobie drugą z drzewa, bardzo podobną do naturalnej. Zdarzyło się jakiś czas potem, że kula armatnia urwała mu tę nogę drewnianą.

— Prędko chirurga — zawołał ktoś z obecnych.

— Nie, moi przyjaciele — odpowiedział oficer spokojnie — zawołajcie raczej stolarza.

DWÓCH KOLEGÓW

Poczciwy człowiek spotkał pewnego razu aktora angielskiego Garrick'a, którego nazwał „drogim kolegą".

— Ależ ja pana nie znam — odpowiedział mu Garrick.

— To niemożliwe! My przecież często grywaliśmy razem!

— Przyznaję, że nic nie przypominam sobie. Jakie role pan grywał?

— Ja przedstawiałem koguta w Hamlecie.

OKULARY

Wieśniak widząc, że starcy używają okularów do czytania, pobiegł do miasta, aby je kupić. Optyk włożył mu okulary na nos. Wieśniak próbował czytać, otworzył książkę, ale orzekł, że okulary są złe. Optyk włożył mu inne, lecz wieśniak także nie był zadowolony.

— Mój przyjacielu, umiecie wy czytać — zapytał zaintrygowany kupiec.

— Do diabła — powiedział wieśniak — gdybym umiał czytać to nie potrzebowałbym waszych okularów.

ANEGDOTY

NAIWNOŚĆ

Mała dziewczynka zapytała matkę przygotowującą się do wyjazdu:

— Czy zmieniamy mieszkanie?

— Nie moja kochana — odpowiedziała matka — wyjeżdżamy na wieś.

— A to szkoda, miasto jest przyjemniejsze.

— To możliwe, lecz powietrze jest niezdrowe, szczególnie na wiosnę.

— A więc dlaczego nie budują miast na wsi, aby było zdrowo — odpowiedziało zdziwione dziecko.

GRAND CONDÉ

Grand Condé pospieszył przywitać Ludwika XIV, po bitwie którą wygrał.

Król stał wysoko na schodach.

Księciu Condé, który cierpiał na podagrę, ciężko było wspinać się toteż zatrzymując się w połowie schodów powiedział:

— Proszę darować Wasza Wysokość, że nie mogę wyjść.

— Nie trudźcie się, mój kuzynie — odpowiedział król — kiedy się jest obciążonym laurami, tak jak wy, nie można iść szybko.

Z francuskiego przełożyła A. G.



Szkoda naszej fatygi, musimy teraz wrócić z powrotem, ten kogut niestet jest z blaszki.

Das Illustrierte Bla

— Podczas p o b y t u w szpitalu ubyło mi 10 kilo — opowiada kolega koledze.

— Niemożliwe — dziwi się kolega — dlaczego?

— Wycięto mi ślepą kiszkę.

— Do licha! Nie myślałem, że ona aż tyle waży.

*

— Czy wiesz co mi wczoraj odpowiedziała H a n k a gdym się jej oświadczył?

— Nie.

— Skąd już to wiesz?

*

— Jak bardzo panu wychodzą włosy! Czy używał pan już naszej wody na porost włosów?

— Tak, ale zdaje się, że one mi wychodzą od czego innego.

*

— Cóż to, czemu tak na czarno? — wita jedna przyjaciółka drugą.

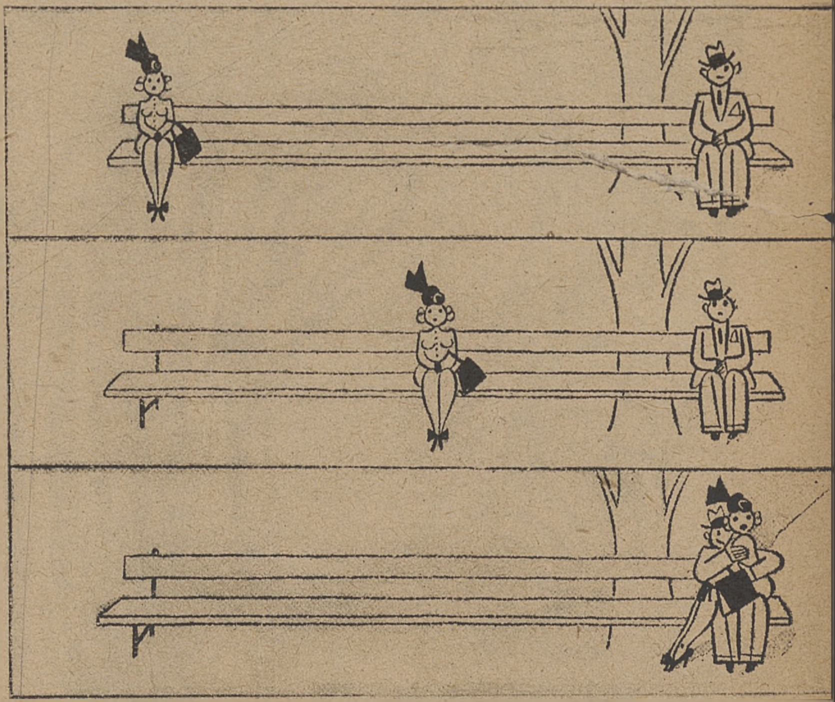
— Umarła nasza ciotka, która zapisała nam swój majątek.

— Ach, tak! A ja myślałam, że nosisz żałobę.



Teraz nie przeszkodzi mi już broda w opalan się.

Guerin-Meschino-Włoch



Szczerozłota sztuka kościelna



Na lewo:
„Zwiastowanie" cenna emalia z XIV-go stulecia.



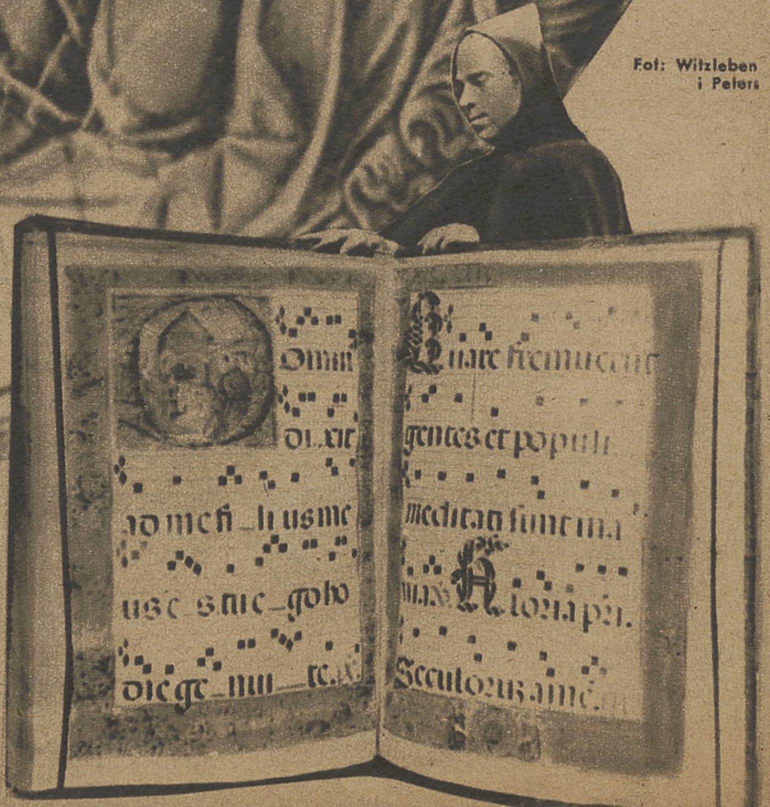
Na prawo:
Przepięknie haftowany obraz ze zbiorów w Guadelupie. Jeden z najpiękniejszych eksponatów muzeum.



Fot: Witzleben i Peters



Poniżej: „Capa rica" złotem haftowany ornat z XVIII stulecia, dzieło sławnego hafciarza Hieronima de la Fuente.



SKARBY MUZEUM W GUADELUPIE

Muzeum haftów znajdujące się w hiszpańskim klasztorze w Guadelupie zawiera dużą ilość wybitnych arcydzieł sztuki kościelnej z dawnych czasów. Na prawo: ręcznie pisana, bogato złotem i wspaniałymi miniaturami ozdobiona, imponujących rozmiarów, bo na 1,20 m długa księga z XV stulecia. Powyżej: Jeden z inicjałów tej księgi.